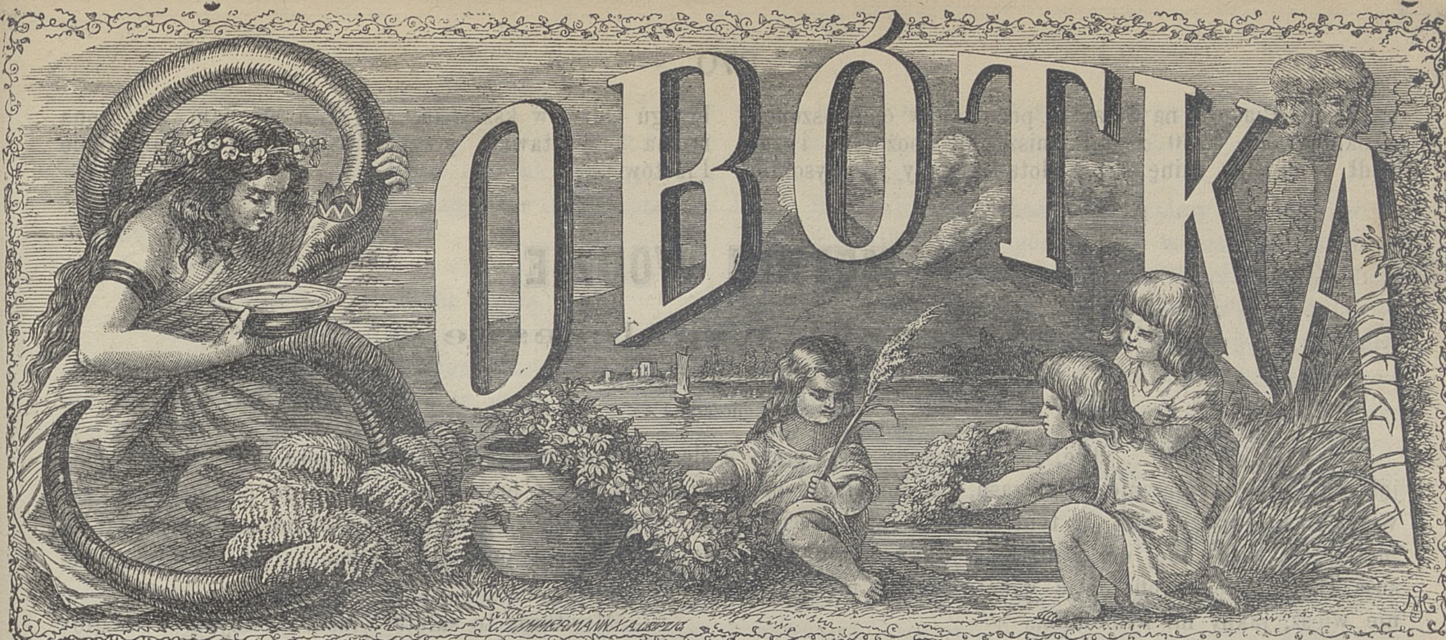


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 46. **Poznań, dnia 13 Listopada 1869.** **Rok I.**

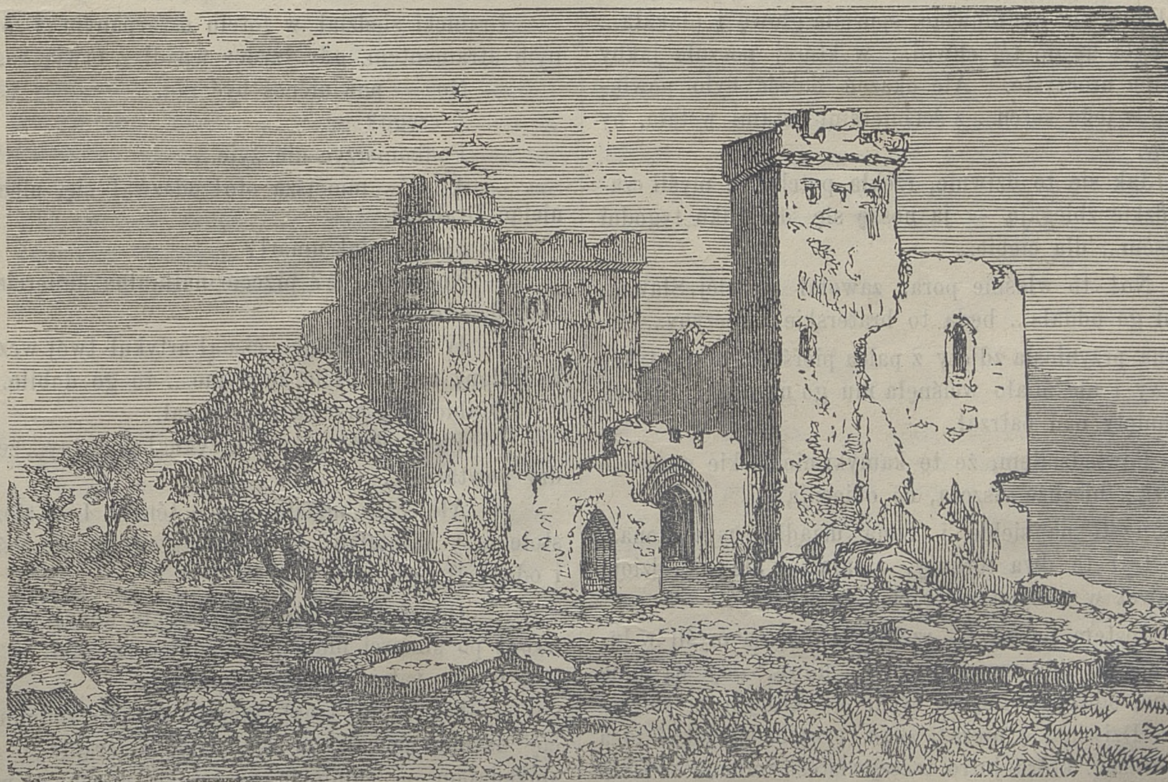
Od Redakcyi.

Po ukończeniu powieści „W mętnéj wodzie" rozpoczniemy w nr. 47 „Sobótki" druk powiastki p. t. „Dziś" przez Paulinę z L. Wilkońską, po Nowym Roku zaś powieść znanego i ulubionego pisarza Zacharijasiewicza.

Ruiny zamku w Brzegu.

(Z ryciną.)

Brzeg, jedno z najstarszych miast szląskich; leży na lewym, wysokim brzegu Odry, zkąd jego nazwisko. Już w wieku XI był Brzeg obronną twierdzą przeciwko napadom rycerstwa niemieckiego, które rychło wdzierało się w ziemie szląskie i przeciw najazdom Czechów, którzy w dawniejszych czasach ustawicznie wojowali z królami



Ruiny zamku w Brzegu.

polskimi. W r. 1096 książę czeski, Brzetysław II, napadł Brzeg i zniszczył go zupełnie. W XIII wieku zbudowali w Brzegu książęta piastowscy potężny zamek, który im długo służył za obronę. Zamek ten po wy-

gaśnięciu Piastów na Szląsku, pozostał w opustoszeniu, a około roku 1740 został zniszczony pożarem i zapadł w zupełną ruinę, którą dotąd sterczy na wysokim brzegu Odry w kształcie, w jakim go nam załączona rycina przedstawia, przypominając dawne panowanie Piastów. K.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dokończenie.)

— Nie lękaj się... chcę, żebyś odemnie małą przyjęła pamiątkę, koniecznie. Od czasu, jak mi kiedyś powiedziałaś, jeszcze tam w tym pokoiku na trzeciém piętrze, że każdy mój dar palił by cię, jak suknia Nessusa, bałem się ci ofiarować cokolwiek... a nie wiesz, nie wiesz, jakby mi było miło...

— O mój bracie... drżąc i ze łzami wyjęknęła Lena.

— Najprzód historyą ci powiem... Mój pradziad wzięty był przez Turków w niewolę... Sprzedany został jakiemuś Baszy. Turek zachorował mocno.. niewolnik wiedział jakieś lekarstwo, poradził je i ocalił niewiernego... Ale niewierny serce miał wielkie, bo go obdarzył swobodą, i wyprawił do Polski nazad, opatrzywszy kiesą złota... kilku końmi i wielbłądami. A że miał serce Turek... na wyjezdném jeszcze włożył pradziadowi pierścień z turkusem. Kamień to nie wielkiéj wartości, ale na Wschodzie i u nas przywięzują doń wiarę, że szczęcie przynosi z sobą... Otóż turkus pradziadka włożę ci na palec... a ty... ty go nigdy nie zrzucisz.

To mówiąc, wyjął z pudełeczka dziwny pierścień z ogromném okiem niebieskiém i wsunął go na palec Lenie, która nic nie mówiąc, spuściła głowę i płakała... Mężną była aż do téj chwili... w któréj poczuła jakby pożegnanie uroczyste. Ale okazać boleść było powiększyć ją w jego sercu... z ściśniętemi ustami wstała, by ukryć łzy.

— Jak się to dziwnie, rzekła po chwili, myśli czasem ludzkie zbiegają — ja noszę się od kilku tygodni z turkusem... dla ciebie...

— No! to właśnie pora, zawołał weseléj Sławek, abyś mi go oddała... będą to braterskie zaręczyny...

Lena przyniosła zdjęty z palca pierścień nowy, także turkusowy i nieśmiało wcisnęła mu go na rękę... Sławek uśmiechnięty nań patrzał.

— Powiedziałem, że te kamyki niebieskie szczęście przynoszą... niechże ziszczą, co obiecują!

Spojrzeli na siebie i Lena usiadła uspokojona... Dziwny traf te dwa turkusy, rzekła — ale się dzieją cuda nawet w małych rzeczach...

— Jestem pewny — rzekł Sławek, że myśli w ludziach nawet nie wyrażone przez słowa, gdy są silne i potężne, oddziaływają na tych, ku którym są skierowane... Dziwią się nieraz zkąd przychodzi jakaś idea niespodziana... która jutro rzeczywistość zmienia w fakt.. cóż to, jeśli nie poczucie myśli, która leci i jak błyskawica grzmot, poprzedza czyn.

Było to ostatnie słowo rozmowy, bo Sławek uczuł się zmęczonym, zakaszlał, zamknięto okno, a Lena choć pragnęła zostać przy nim, musiała go pożegnać...,

Scisnął ją za rękę... już odchodzącą przywołał i.. jeszcze raz spokojnie, na białém jéj czole złożył pocałunek bratni...

— Moriturus te salutat! rzekł w myśli — a głośno... Dobranoc Lenie...

Nazajutrz rano w domu chodzono na palcach... Sławek spał... ale spał tak długo, tak niezwyczajnie cicho... nie kaszląc... spokojnie, iż strwożony Kanonik, który od godziny czekał na przebudzenie, siedząc w krześle... wreście na palcach wszedł do sypialni.

Sławek z uśmiechem na ustach, leżał piękny, jak anioł, uśpiony na poduszce, zbroczony krwią... w ręku miał pomięty i poszarpany papier... Nie było to omdlenie, ale — ale śmierć...

Otwarto okiennice, zbiegli się słudzy, wszyscy poklękli przy łożu i płakali.. Sławek spał... a dusza jego, uleciała w niebiosa... Kanonik wyjął mu z zaciśniętéj dłoni zmięty papier...

Był to w liście bezimiennym przesłany mu niepoczciwy, plugawy artykuł gazety... który go dobił.

Drabicki siedział w fotelu oszarpanym i oplamionym atramentem, gdy Izydor wpadł z brwią zasępioną.

— No — powinieneś być rad.

— Z czego?

— Podkomorzyc nie żyje...

— A! a!... mniejsza oto! odezwał się, nieco bledniejąc Drabicki.

— I wiesz, jak umarł?

— No cóż? cóż? przecie naturalną śmiercią z suchot dziedzicznych...

— W ręku, konając, cisnął artykuł twój wczorajszy, nadesłany mu w liście anonyme.... to go dobiło.

Drabicki z krzesła się zerwał.

— Pleć! pleć! głupi... krzyknął gniewny... żeby drudzy powtarzali...

— Ale całe miasto wie o tém... List złożony na stole przy katafalku... Pan Redaktor chciał coś mówić i odwrócił się.

— Dosyć że z tym człowiekiem końca nie będzie! nawet po śmierci mnie prześladuje! zawołał.

Izydor patrzał nań z pogardą.

— Słuchajno, rzekł, klepiąc go po ramieniu, znam cię dawno, powalałem się cały, ocierając o ciebie... sprzedałem ci sumienie za sztukę mięsa, a wstyd za kieliszek wódki... ale wszystko ma granice. Gdybym miał z głodu zdechnąć... nie chcę mieć więcéj z tobą do czynienia... bywaj zdrów... Drabicki ramionami ruszył.

— No? to idź do stu tysięcy...

— Wielką mi szkodę zrobisz! Myślisz, żem bardzo ciebie potrzebował... wycisnąłem cię jak cytrynę... cóż ty teraz wart, zszarzany, zszargany, obrukany, przepity i osławiony... idź! idź!

I pokazał drzwi.

Pan Izydor włożył czapkę na głowę.

— Masz słuszność... i to, co mówisz, spotyka mnie sprawiedliwie. Z ludźmi twojego rodzaju nie kończy się inaczéj tylko wypchnięciem za drzwi, gdy jak pijawka krew wyssali... kto inny wszakże zrobiłby sobie tę przyjemność, żeby cię wypoliczkował, ale ja ręki walać nie chcę...

To mówiąc, drzwiami zatrzasnął i wyszedł...

Drabicki napił się wódki, pochodził po pokoju, ręce włożywszy w kieszenie... zatarł kilka razy czuprynę, i ważył tylko jedno — czy nie wypada mu pójść za pogrzebem podkomorzyca? . . . .

. . . .

Maleńkie grono przyjaciół zebrało się pod dworkiem... przez którego okna otwarte, widać było trumnę czarno obitą, zarzuconą kwiatami, a wśród nich marmurową twarz rycerza, który poległ zabity w obronie prawdy. U nóg klęczała ze spuszczoną głową w czerni kobieta, któréj żal był spokojny, ale głęboki, osłupiający, na pozór chłodny... w rzeczy niezgłębiony... przerażający... Łzy już była wypłakała, a oczy wypalone, patrzały na twarz bladą Sławka, jakby się na całą wieczność nasycić nią chciały. Chwilami jakaś łza zabłąkana pod sercem przybiegła na powiekę, stanęła i stoczyła się nieotarta od twarzy...

Kanonik płacząc, czytał modlitwy, sposobił do konduktu... zresztą, zresztą garstka ciekawych, kupka znajomych i orszak ubogich, co po jałmużnę przyszli. Młodzież się była rozjechała i nie jest dziś we zwyczaju młodzieży poszanować zgon, bo się nie szanuje życia... między przechadzką wesołą a pielgrzymką cmentarną mając do wyboru, zawsze się znajdzie środek wybrać to, co łatwiejsze a dogodniejsze. Słońce się miało ku zachodowi, gdy skromny orszak nie wielki, pustemi ulicami na cmentarz wyruszył. I było coś dziwnie, szyderczo bolesnego w tém opuszczeniu człowieka — ofiarnika przez ludzi, co wszelką ofiarą się brzydzą... Zdala poszła Lena ze spuszczoną głową, zamyślona, z wiankiem aster w dłoni...

Po drodze spotykano ludzi, którzy stawali, łączyli się na chwilę, rzucali pochód... i wracali do czynnego życia... Gdzieś z kąta ukazała się twarz pożółkła Drabickiego, który popatrzał i znikł... Izydor zaczerwieniony po dobrym obiedzie, wystąpił z restauracyi, koło któréj przechodził kondukt, rzucił cygaro i połączył się z pogrzebem. Samiel także miał sobie z obowiązek towarzyszyć umarłemu, a więcéj pono Lenie, któréj zajął stanowisko... Niewiadomo tylko było, czy się tu znajdował dla nieboszczyka, czy dla żywéj istoty?

Inni przyjaciele rodziny i polityczni współpracownicy, nie pokazali się — byli zajęci...

Tak szczupła ta garść ludzi dowlokła się zwolna do cmentarza. obcy wzięli trumnę na ramiona i ponieśli do grobu... Ostatnia swój wieniec aster położyła na wieko Lena... klękła i modliła się, płacząc...

Kanonik chciał przemówić nad grobem, ale dla kogo i do kogo? Ci, co tu byli, czuli to, co on, a słowo nie starczyło sercu, ukląkł więc z załzawionemi oczyma, odmawiając Anioł Pański i powoli ziemia się sypać zaczęła na zwłoki Sławka.

Samiel na pół omdlałéj Helenie podał rękę, ale podziękowawszy mu skinieniem, pozostała biedna w miejscu, nie chcąc odejść, nie mówiąc słowa, nie mogąc się nawet rozpłakać. Na pół już przysypano ziemią mogiłę, a ona siedziała jeszcze na starym kamieniu i patrzała w tę głębinę, która go pochłonęła.

Taka była ostatnia scena tego cichego dramatu, — zwyczajna, prosta, smętna — bez wystawy i kłamanego występu. Łzy starca i ból sieroty, ziewanie tłumione przyjaciela, westchnienie kilku obojętnych nad sobą samymi — oto wszystko.

Nazajutrz Gazeta między wiadomościami krajowemi umieściła wzmiankę następującą.

„Dnia b. miesiąca zmarł z suchot, ś. p. Świętosław Młyński, syn podkomorzego, mając lat wieku dwadzieścia i pięć. Zmarły przez czas jakiś zajmował się redakcyą pisma, które ze śmiercią jego wychodzić przestaje.“

Drezno, 1868—69.

Kroaci.

(Z ryciną)

Kroaci, jak inne plemiona Słowian Południowych, prowadzili długo żywot mało znany, dopiero w r. 1848 rewolucya, która wstrząsnęła całą Europą, zaczęła u nich budzić społeczne i polityczne życie, które krzepiło przedewszystkiem stronnictwo narodowe, na czele którego stanął hr. Draskowicz. Kroaci zaczęli się dopominać, ażeby ich rząd austryacki uznał równie, jak Węgry, za samodzielne królestwo i nadał im osobną autonomią. Atoli ich żądania jakkolwiek słuszne, spełzły na niczem. Cesarz nieprzyjął wcale kroackiéj deputacyi i kazał jéj się zwrócić z swemi żądaniami do ministerstwa węgierskiego. To dało hasło do powstania, którém kierował ban Jellaczyc, skutkiem czego rząd musiał ustąpić, przyznać Kroacyi samodzielność i nadać jéj konstytucyą. Wszystko to jednak poszło w zapomnienie w ciągu reakcyi trwającéj od 1850—60 r. W r. 1860 przyznano Kroacyi powtórnie konstytucyą, atoli już pierwszy sejm został przez rząd rozwiązany, i odtąd nie było w królestwie kroackiém rządów konstytucyjnych, aż dopiero gdy po klęsce Austryaków pod Sadową 1866 r. nie nastąpiła zgoda z Węgrami, którzy Kroatom chętnie przyznali autonomią.

Królestwo kroackie obejmuje tylko 350 kwadratowych mil i blisko milion ludności, śród któréj znajduje się 20,000 Niemców, 13,000 Węgrów, 9,000 Włochów i Greków. Pod względem konfensyi jest 730,000 katolików, 135,000 schizmatyków, 6 ,000 protestantów, 5000 żydów.

Głównemi rzekami są: Drawa, stanowiąca granicę od królestwa węgierskiego, Sawa, płynąca środkiem kraju, Kupa, rozdzielająca Kroacyą od Pogranicza Wojskowego. Klimat jest łagodny a gleba bardzo urodzajna z wyjątkiem podgórza alpejskiego. Rodzi się tu oprócz zboża i innych owoców, także wino i tytuń. Przemysł stoi ró-

wnie na niskim stopniu, jak w Węgrzech. Oświata ludowa znajduje się także na bardzo niskim stopniu. W ostatnich jednak latach, dotąd lgnąca do Madziaryzmu szlachta i duchowieństwo jęło się gorliwie rozkrzewiać oświatę w duchu narodowym. W mieście Zagrzebiu, jako stolicy kraju, jest akademia i sześć gimnazyów oraz wiele innych szkół, to też Zagrzeb stał się ogniskiem całego ruchu umysłowego a mianowicie literackiego. Są tu Towarzystwa literackie i rólnicze, które w wszystkich miastach okręgowych mają swoje filie. Zagrzeb liczy przeszło 20,000 mieszkańca. Inne miasta znaczniejsze są: Krzyżewce, Warażdin (10,000 m.) Karlowiec Górny (7000 m.) Wspomnieć tu także wypada Krapinę z rozwalinami starego grodu zwanego Psary, o którym podanie mówi, że z niego pochodzą wodzowie narodów słowiańskich. Czech i Lech, oraz wieś Grobnik i zamek na polu grobnickiém, które jest zupełnie zasypane kamieniami i pamiętne zwycięztwem Kroatów nad Tatarami r. 1242.

Kroaci posiadają te same przymioty, co inni Słowianie Południowi: Czarnogórcy, Serbowie, Słowieńcy. W boju są mężni i poświęcają chętnie wszystko w celach dobra narodowego. Są oni bardzo muzykalni, jak Serbowie, ich pieśni mają też te same cechy, co pieśni serbskie. Niektóre pieśni kroackie przyswoił piśmiennictwu naszemu w udatnym przekładzie p. Hieronim Feldmanowski. Obyczaje i zwyczaje, zabobony i przesądy podobnież są im wspólne z Serbami.

Ubiór Kroatów jest z małemi odmianami takiż sam, jak na Węgrzech i w ościennych krajach słowiańskich, o ile gdzie nie został zastąpiony kosmopolitycznym frakiem.

Dołączona rycina przedstawia ubiór magnacki.

O — P.

W Imienniku Fr. M.



Mam dla pamięci coś wpisać Ci, Franiu!
Lecz cóż tu pisać! dziś me myśli w grobie,
Bo jak noc czarne. Lecz wiem; przy rozstaniu —
Tak! — ja trzy rady zbawienne dam Tobie.

Nie wierz nikomu, bo na świecie całym
Każda istota Bogu, ludziom kłamie,
Czułość Ci każdy przysięgnie z zapałem,
Potem szyderczo swą przysięgę złamie.

Dumaj — niech myśl Twa, jak na fali płynie,
Lecz ją kryć umiej w własnym serca domu,
Tam, gdzie powstała, niech wraz i zaginie,
A z ludzi nigdy nie ufaj nikomu!

Choćby uczuciem przepełnione serce
Pęknąć Ci miało, przebolej, choć srogo...
A z ludzi nigdy nie kochaj nikogo,
Bo Twe uczucie spotwarzą oszczerce! —

T. R.

Wierz, ufaj, kochaj!



Przez życia ciernie idź z wiarą dziecię!
Bo wszak ciernista żywota droga.
Biada! kto goniąc ułudne kwiecie,
Odbiegł téj drogi, — bo odbiegł Boga!

Choć w téj podróży burza szaleje,
To nie upadaj w pośród zamieci!
Lecz w tęsknéj piersi ożyw nadzieję,
Ufaj, że znowu słonko zaświeci!

Choć ludzie serca zamkną przed tobą,
Smiechem szyderstwa hucząc nad czołem:
Przebacz tym — co cię okryli żałobą,
I bądź miłości jasnym aniołem!

Wł. B.

O Teatrze narodowym.

IV.

Jeżeli w Warszawie i Krakowie teatr narodowy przechodził rozmaite koleje i już to z winy okoliczności i obcych panów, już wskutek nieudolności lub niemożności dyrektorów często schodził na ostatni prawie stopień upadku, to dzieje sceny polskiéj we Lwowie dadzą nam jeszcze jaskrawszy obraz awanturniczych prawie kolei i tych walk upartych, jakie i ten objaw narodowego ducha staczać był zmuszony z uciskiem przez najeźdźców wywieranym, z uciskiem, który do dziś dnia nad teatrem lwowskim ciąży i rozwój jego tamuje.

Ze stolic różnych prowincyi składających Rzeczpospolitą, Lwów najprędzéj został oderwany i...... smutno to powiedzieć, najmniéj to oderwanie uczuł. Już w 1776 r. jacyś cywilizatorowie z Wiednia Göttersdorf i Hülwerdyng zakładają jakiś teatr niemiecki w drewnianéj szopie przy bramie jezuickiéj i teatr ten żyje, istnieje, trwa ciągle, nawet podnosi się, w mieście czysto polskiém, w którém jak do najeźdźców powinien był być tak jeszcze świeżym i gorącym... Tymczasem o polskich przedstawieniach nikt nie myśli, nikt nie mruczy nawet.

Dopiero we cztery lata potém w roku 1780 Truskolawscy opuściwszy Warszawę, zamieszkują we Lwowie, a gdy za nimi podążył znakomity Owsiński a w następnym roku i Bogusławski, nie liczna ta ale z pierwszorzędnych talentów złożona gromadka, stwarza zawiązek teatru i dobrawszy młodych artystów kilku, rozpoczyna przedstawienia.

Ala ani wyborna gra Truskolawskiéj i Owsińskiego, ani niezmordowana czynność Bogusławskiego, ani wyrestaurowanie teatru, nie mogły podołać z jednéj strony przeszkodom przez rząd stawianym, z drugiéj apatyi Lwowian.

Po trzech latach daremnych wysileń, zrujnowani, zniechęceni artyści sami przenieśli się do Warszawy z powrotem.

Po pierwszéj téj próbie wcale niezachęcającéj znów przez lat cztery nie było polskiego teatru we Lwowie (bo niemiecki kwitnął ciągle) aż w roku 1787 Bogusławski zajrzał tu w przejeździe z Dubna. I tym jednak razem Lwów tak chłodno przyjął narodowych artystów, że tylko składka na ostatniém przedstawieniu zebrana, umożliwiła im wyjazd.

Nie dziw, że po takiém przyjęciu przez lat sześć nikt nie miał odwagi próbować szczęścia w tak niewdzięczném dla teatru mieście. Dopiero w roku 1793 niejaki Morawski utworzył nie wielką trupę i od czasu do czasu dawał przedstawienia. Ale rzeczywiście roku 1795 zaczyna się naprawdę historya teatru lwowskiego, a nawet chwilowa jego świetność.

Był to pierwszy rok, jaki upływał od dnia Maciejowic i ostatecznego rozbioru Polski. Kraj cały zalany był przez najezdnicze czernie, a tylko Lwów jeden, jako

od dawna zabrany, i wielce lojalny, cieszył się spokojem względnym. Tam též zbiegło się z całéj Polski to wszystko, co uciekać mogło, musiało lub chciało. Gród halicki roił się zamożną szlachtą zbiegłą tu z całego obszaru Polski, a wśród téj wpływowéj masy, wyróżniały się dwa prądy. Część jéj szalała tak, jak tylko zrozpaczeni lub idyoci szaleć umieją, reszta, całą duszą i sercem zwróciła się ku wszystkiemu, co polskie, co narodowe, i z zapałem witała wszystko, co jéj straconą ojczyznę przypominało. Lwów zaś pod wpływem téj świeżéj a polskiéj ludności odżył i przypomniał sobie, że jest także czysto polskim grodem.

Było więc usposobienie ogólne arcykorzystne dla teatru. Jakož Bogusławski siedzący od rzezi Pragi w Krakowskiém, odebrał na raz krótki bilecik od członków rozbitéj opery warszawskiéj, wzywający go, żeby przybywał do Lwowa. Niezmordowany twórca sceny polskiéj pospieszył natychmiast, ale na granicy zatrzymano mu całą garderobę, i ledwo sam dostał się do Lwowa. Przyjęto go z entuzyazmem, wyrobiono mu



Kroaci.

pozwolenia władzy, niemieckiego przedsiębiorcę mającego przywiléj zmuszono prawie do wejścia w układ, potém i garderobę z komory wydobyto, i Bogusławski w styczniu już 1795 r. rozpoczął przedstawienia z niesłychaném powodzeniem, dając głównie opery przy pomocy Jasińskich obojgu, Rutkowskich, Kaczkowskiego itd., a tragedye, które podtrzymywał zawsze Owsiński, nawet przez Niemców wielbiony.

Ale z podniesieniem się sceny polskiéj zaczęła upadać niemiecka.

Przedsiębiorca więc niemiecki Bulla, odmówił dalszego pozwolenia, i dopiero po długich targach, układach, umowach, Bogusławski musiał przyjąć na siebie kierunek obu teatrów, na dość trudnych warunkach.

Taki był wtedy jednak entuzyazm dla Bogusławskiego, że skoro się wieść o téj umowie rozeszła, rozebrano natychmiast abonament na oba teatra i całą zimę 95/6 r. widowiska polskie i niemieckie były przepełnione, a niezmordowany dyrektor zaczął z długów wychodzići.

Takiém powodzeniem zachęcony Bogusławski, przy pomocy Kazimierza hr. Rzewuskiego i innych, wybudował ogromny odkryty amfiteatr w ogrodzie Jabłonow-

skich, i tam rozpoczął przedstawienia letnie, które sprowadzały takie tłumy, że 2500 miejsc pomieścić ich nie mogły. Ale korzyści tego amfiteatru pochłaniała restauracya teatru zimowego, któréj się Bogusławski umową podjął a któréj dokonywał ze zwykłą sobie sumiennością. Połowa następnego (1797 r.) była jeszcze bardzo pomyślna, ale lato niepogodne psuło interesa amfiteatru. Ciekawy wtedy zdarzył się szczegół. Bogusławski napisał olbrzymią melodramę p. t. Iskahar z muzyką Elsnera, pełną efektów i tak ją ułożył, że trwała noc całą, a wschodzące przy końcu słońce było słońcem prawdziwém. Sztuka ta miała niesłychane powodzenie.

Ale ta świetność teatru raptem poczęła tak upadać od r. 1798, że już w następnym Bogusławski musiał kontrakt z Bullą zerwać, i ledwo zdołał bez długów wielkich Lwów opuścić. Położenie tego nieocenionego człowieka było znowu naprawdę tragi-komiczne jak to sam z nieporównanym humorem i dobrodusznością opowiada. Raz n p. przez miesiąc cały chodził za nim policyant przydany mu na stróża przez jednego z pejsatych wierzycieli. Wśród wspomnień téj biedy zacny artysta z rozrzewnieniem oddaje cześć tym miłośnikom sztuki narodowéj, którzy mu z chętną spieszyli pomocą. Tak Potocki, wojewoda bełzki, poręczył dość znaczną sumę za niego, tak hr. Wielhorska przysłała mu swoje klejnoty, by je zastawił i pomógł sobie, tak dość często odbierał datki bezimienne po 50 i po 100 dukatów.

Ale wszystkie te poczciwe i szlachetne pomoce pojedyńczych nie na wiele się zdały, bo taka instytucya, jak teatr tylko współudziałem ogółu istnieć może. Lwów zaś już wtedy opustoszał, goście jego wrócili do domów, a ludność miejscowa znać nie była zdolna jeszcze ocenić ważności i potrzeby teatru. Zresztą klęski wojenne, jakie Austrya w tym roku ponosiła, wywołując zubożenia, podkopywały teatr.

Maja 13 1799 r. umarł najznakomitszy może tragik polski Owsiński, a w parę dni potem wyjechał na zawsze już Bogusławski, zostawiając za sobą pełno szacunku i uwielbienia, wspomnienie nawet u cudzoziemców, i.. sporo długów.

I tak oto po czterech latach niezwykłéj świetności, teatr polski we Lwowie znika prawie na lat dziesięć, i potrzeba było aż takiego jak J. N. Kamiński człowieka, by go z gruzów i upadku podnieść.

Komuż z nas nieznane to imię, któż z nas nieuczył się w szkołach jego wierszy na pamięć, owych wierszy, które nie będą może poezyą w całém tego słowa znaczeniu, są przecież zawsze jasną, polską myślą, ślicznym wypowiedzianą językiem.

Zacny ten człowiek, równy zasługami Bogusławskiemu, a jako pisarz, wyższy od niego, urodził się w 1777; już za pobytu Bogusławskiego jeszcze studentem będąc, tłómaczył komedyą i zaznajamiał się z tajemnicami sceny. Około 1805 pojechał do Odesy i utworzył tam trupę polską, która protegowana przez gubernatora Richelieugo, niezmierne zyskiwała powodzenie.

Tymczasem we Lwowie, jak powiedzieliśmy, teatru polskiego nie było. Jednakże bogaty mieszczanin Wronowski, organizował w swoim domu od czasu do czasu bezpłatne przedstawienia amatorskie, które przyczyniły się niemało do wyrobienia młodych talentów, bo prawie wszyscy późniejsi znakomici aktorowie brali w nich udział.

W 1809 r. nareszcie, gdy bitwa pod Wagram rozbudziła nowe nadzieje, Kamiński gwałtem prawie w Odesie zatrzymywany, wraca do Lwowa i postanawia tutaj stały otworzyć teatr. Ale nie było to rzeczą łatwą. Przedsiębiorca niemiecki ani słyszeć o nim nie chciał, utrudniono mu przystęp do gubernatora, a w końcu policya wyjechać mu kazała. Nic jednak zrazić Kamińskiego nie mogło. Upilnował gubernatora na spacerze, przyczepił się gwałtem do niego i tyle przedstawiał, prosił, naprzykrzał się, że nareszcie otrzymał pozwolenie upragnione.

Z r. 1809, dzięki Kamińskiemu, powstaje teatr polski we Lwowie i trwa już bez przerwy aż do naszych czasów. Nowemu dyrektorowi, ani środki, ani okoliczności, nie pozwoliły zebrać zbyt licznego grona artystów, ale za to dzięki przypadkowi, a więcéj zapewne estetycznym instynktom kierownika, zebrało się koło niego grono młodych, prawdziwie utalentowanych artystów. Kamiński bowiem, lubo sam aktór mierny, oceniał kolegów swoich doskonale, umiał ich wyszukiwać i co najważniejsza, zbyt szczerze kochał sztukę, żeby się w sercu jego miejsce na zazdrość znalazło. I to jeden z najpiękniejszych stron twórcy teatru lwowskiego, a zarazem przymiot nader rzadki w dyrektorze, który jest zarazem artystą. Taż sama miłość serdeczna sztuki narodowéj, nie pozwalała nigdy Kamińskiemu zejść do roli spekulanta. Teatr kochał on jak własne dziecię, poświęcił dlań życie, siły, mienie i ztąd téż widzimy, że we Lwowie scena nie ulegała tym fluktuacyom jak gdzie indziéj, a artyści przywięzywali się serdecznie do samego przewodnika swego, i bardzo rzadko szukali gdzieindziéj czegoś lepszego.

(Dokończenie art. IV. nastąpi.)

Wycieczki po niebie

przez

Dr. Daniela Wierzbickiego.

II. O gwiazdach spadających.

Chociaż nasze wiadomości o ciałach świata słonecznego w ostatniém zwłaszcza stuleciu, dzięki niezmordowanéj pracy badaczów przyrody, daleko posuniętemi zostały, przyznać się jednak potrzeba, że jeszcze wiele zjawisk, na które ludzie z podziwieniem i uwielbieniem ręki Tego, który je raz na wiek wieków urządził, przez tysiące lat patrzą, zostają dla nas dotąd prawie niewytłómaczonemi, zostają niezbitemi dowodami granic naszego rozumu, który w sprawach świata, częstokroć tak dumny i tak zadowolony z siebie, w obec dzieł Stwórcy upada zupełnie. Znamy ruch planet i komet z podziwienia godną dokładnością, a nawet i co do natury ciał większych niebieskich, mimo ogromnéj ich od nas odległości, mamy niejakie wiadomości, a o wielu zjawiskach, które tuż przed naszém okiem się pojawiają, nie możemy częstokroć z pewnością powiedzieć, czy one do nieba, czy do ziemi należą, t. j. czyli one są wpływem działania wszystkich lub nie który chciał do wszechświata należących, albo li téż, czyli są wypływem ustroju samejże ziemi. Do takich zjawisk między innemi, o których w późniejszych naszych opowiadaniach mówić będziemy, należy znane bezwątpienia każdemu zjawisko spadania gwiazd, któremu właśnie ten ustęp poświęcimy.

Zacznijmy od opisania samego zjawiska.

Podczas każdéj prawie pogodnéj nocy widzieć można na niebie pojawiające się nagle jasne punkta do gwiazd podobne, tém atoli od gwiazd różne, że zaraz od chwili swego pojawu biegną one, jedne chyżéj, drugie wolniéj, ale zawsze z wielką chyżością i znikają po krótkim czasie w mniejszéj lub większéj od ziemi od-

ległości. Co do wielkości czyli blasku swojego, są one rozmaite niektóre zaledwo gołém okiem są widziane, inne dorównywają gwiazdom najjaśniejszym, czyli gwiazdom pierwszéj wielkości, a inne znów przewyższają swym blaskiem najjaśniejsze planety, jakiemi są np. J o w i s z lub W e n u s. Pojawienie się tych ostatnich, jest tak podobném do pojawiania się kul ognistych, że między temi dwoma zjawiskami nie ma prawie żadnéj różnicy, zkąd powstał naturalny wniosek, że gwiazdy spadające i kule ogniste co do istoty swéj nie są od siebie różne, lecz że pierwsze są tylko małemi kulami ognistemi. Gwiazdy spadające takie, których gołém okiem dojrzeć nie można, zwą się t e l o s k o p i c z n e m i i na takowe dopiero od niedawna zwrócono uwagę. Wspomnieć nam tu wypada, że gwiazdy stałe dzielą astronomowie co do ich wielkości na 13 klas, z których gwiazdy do pierwszych 6 klas należące, gołém okiem widziane być mogą, reszta zaś tylko za pomocą lunety czyli teoskopu, i dlatego zwą się one teloskopicznemi.

Gwiazdy spadające podobnie jak kule ogniste, nie są przywiązane do żadnéj okolicy ziemi, widzieć je można równie w Europie, jak w Ameryce, równie w krajach równikowych, jak kołobiegunowych. Ich pojawianie się nie zależy również od stanu atmosfery; lecą one tak często podczas silnych mrozów, jak i podczas gorących letnich nocy. Większe gwiazdy spadające, pozostawiają za sobą na niebie podczas swego biegu jasny ogon, widzialny jeszcze często przez parę minut po ich zniknięciu. Największa liczba gwiazd spadających mają światło białe, niektóre z nich mglisto szare, mała zaś liczba bywa światła żółtego lub czerwonego.

Zjawisko gwiazd spadających chociaż prawie każdéj nocy, nie zawsze jednak z równą siłą się pojawia; nocy zwłaszcza jesienne bywają więcéj w nie obfite niż w innych porach roku. Są znów niektóre dni w roku, w których gwiazdy lecą rzec można całemi rojami. Na okoliczność tę ostatnią od niedawna, bo dopiero w r. 1833, zwrócono szczególną uwagę, i odtąd też rozpoczyna się właściwie dokładne obserwowanie dróg i chyżości gwiazd spadających, czyli odtąd dopiero rozpoczyna się umiejętne ich traktowanie. I tak poznano najprzód rój listopadowy. W nocy z dnia 12 na 13 listopada 1833 r. spostrzeżono w Ameryce Północnéj około godziny 4 rano, ogromną ilość gwiazd spadających, które lecąc z punktu nieba na południe od zenitu (punkt nadgłówny) leżącego, a mianowicie z gromady L w a, jakby rakiety we wszystkich kierunkach nieba się rozstrzeliwały. Musiało to zjawisko w nadzwyczajnéj sile wystąpić, skoro ówcześni widzowie mówią, że zdawało się, jakoby śnieg ognisty leciał, a niebo ku porankowi było jak gdyby łuną pożarową oświecone. Ku dniowi, gdy już zjawisko na swéj sile tracić poczynało, naliczono w kwadransie 8660 gwiazd spadających, podług czego przyjąć można w przybliżeniu, że w 6 godzinach spadło 207,840 gwiazd. Teraz dopiero przypomniano sobie, że podobneż imponujące zjawisko widziano w r. 1799, i to téj saméj nocy, zaś cokolwiek słabsze widziano w r. 1832 w Niemczech, Francyi i Anglii. W r. 1834 ponowiło się to zjawisko w Ameryce Północnéj, ale już w mniejszéj sile, i odtąd widziano je corocznie. Znany w świecie naukowym lekarz i astronom Olbers obliczył, że zjawisko to powtórzy się w r. 1867 z taką wspaniałością, jak w r. 1833 i 1799, co też rzeczywiście nastąpiło. Podług bowiem badań nad tym rojem listopadowym, z 13 jego objawów po różnych jego kronikach pozapisywanych, a roku 585 sięgających czynionych, pokazało się, że prócz corocznego pojawiania się jego, co 33 lat ponawia się z ogromną siłą.

Drugi z kolei poznano rój sierpniowy. Znanym on jest u ludu pod nazwą: ł e z ś w. W a w r z y ń c a, i przypada na noce między 10 a 13 sierpnia. Wiedziano o nim w Anglii i Szkocyi już bardzo dawno, skoro w starych kalendarzach dzień 10 sierpnia nosił u nich nazwę meteorycznego.

Późniéj poznano jeszcze więcéj takich rojów, chociaż już zupełnie słabszych od dwóch poprzednich, i nie tak ściśle co do czasu oznaczyć się dających. Przypadają one z dnia 20 na 21 kwietnia, między 27 a 29 lipca, z 19 na 20 października, z 6 na 7 i z 12 na 13 grudnia.

Wszystkie te roje znajome już były nawet w dalekiéj starożytności i znajdujemy o nich wzmianki w kronikach europejskich, arabskich i chińskich. Najdawniéjszym z nich zdaje się być kwietniowy, jest bowiem zapisany w chińskich kronikach pod r. 687 przed Chr.; rój lipcowy wspomniany pierwszy raz w r. 36, październikowy w r. 288, grudniowy w r. 901, sierpniowy w r. 830, zaś listopadowy w r. 585 po Chr.

Ważném odkryciem przy wszystkich tych rojach gwiazd spadających jest to, że zdają się one wychodzić z pewnych stałych punktów na niebie, które astronomowie r a d i a n t a m i, albo punktami radiacyjnemi nazwali. Znajomość takich radiantów jest ważną, bo wiedząc, że dla któregoś z rojów poprzednich radiant taki, czyli punkt stały wychodu gwiazd, leży na stronie wschodniéj, nie będzie się wyczekiwało gwiazd spadających na stronie zachodniéj nieba. Takim stałym punktem w r. 1833, 1834 i 1837 była gwiazda zwana γ L e o n i s w gromadzie L w a; obserwacye roju sierpniowego podają jako radiant gwiazdę zwaną A l g o l w gromadzie P e r s e u s z a; krótko mówiąc, w listopadzie lecą gwiazdy z gromady L w a, w sierpniu z północnéj części P e r s e u s z a. Takich radiantów znamy dziś 60, to znaczy, wiemy 60 nocy w roku takich, że jeżeli tylko pogoda sprzyja, a księżyc niema pełni, to wśród nich pojawią się gwiazdy spadające z pewnéj oznaczonéj na niebie okolicy w mniejszéj lub większéj ilości. Przy każdym roju większym, prócz jednego głównego radiantu, zdaje się być jeszcze drugi, z którego gwiazdy lecąc w mniejszéj ilości krzyżują się w drogach swoich, często pod kątem prostym z gwiazdami radiantu głównego, i takowe zwą astronomowie sporadycznemi. I tak np. w listopadzie, jakeśmy powiedzieli, lecą gwiazdy najwięcéj z gromady L w a, od czasu do czasu pokaże się atoli gwiazda spadająca z innéj okolicy nieba, i taką nazwano sporadyczną, czyli nieprawidłową.

Opisawszy zjawisko tak, jak się ono oczom naszym przedstawia, zobaczmy teraz, czego nam o niém badania i poszukiwania dostarczają.

Zjawisko gwiazd spadających, lubo należące do odwiecznych, a nadto do bardzo częstych, bo prawie codziennych, mało uczonych zajmowało w poprzednich stuleciach, i przez tyle wieków żaden astronom nie wpadł na nasuwający się z natury rzeczy pomysł, aby ich wysokość i chyżość obrachować. Przyczyną tego zdaje się być to samo, co było także w dawniejszych czasach przyczyną nie zwracania ściśle umiejętnéj uwagi na komety, a mianowicie, że gwiazdy spadające uważano jako wyziewy zapalające się w jakiś niewytłómaczony sposób, to znów, gdy w połowie zeszłego wieku poznawano zjawiska elektryczności, uważano je za iskry elektryczności powietrznéj, a jeszcze później, poznawszy niektóre palne gazy, twierdzono, że gwiazdy spadające są to nic innego, jak tylko wodoród wznoszący się w powietrze i tamże w jakiś sposób zapalający. Dopiero gdy Chladni, o którym przy meteorach mówiliśmy, wystąpiwszy z swojemi rozprawami o kulach ognistych, objawił swe zdanie, że gwiazdy spadające również jak kule ogniste, mają swój początek po za granicami naszéj atmosfery, rozpoczęto umiejętnie badać to zjawisko. Pierwszą na tém polu zasługę mają dwaj młodzi jeszcze podówczas uczeni z Gettyngi, Brandes i Benzenberg. Wiedziano już o tém dawno, że gwiazdy spadające pokazują się w wielkich po nad ziemią wysokościach, wysokości atoli téj nikt poprzód nie próbował obliczyć,

chociaż to tutaj było łatwiejszém, aniżeli przy kulach ognistych. Te ostatnie bowiem, rzadko się pojawiają, i niepodobna się przygotować na ich obserwowanie, ale gwiazdy spadające co noc prawie można widzieć a obserwacya ich nader prosta. Dwóch bowiem obserwatorów będących w pewnéj, a zmierzonéj od siebie odległości, uważając na niebie kierunek spadającéj gwiazdy w jednym i tym samym czasie, potrafią podług praw matematycznych wyrachować jéj od ziemi odległość. Łatwo pojąć, że kierunek ten dla każdego z nich będzie inny, podobnie jak patrząc na przedmiot ziemski, n. p. na wieżę z dwu różnych punktów, z każdego punktu inaczéj ją widzieć będziemy, i właśnie ta różność kierunków da im materyał do rachunku. Chociażby odległość tych dwóch obserwatorów i na mile się liczyła, rzadko oni się pomylą, co do tożsamości widzianéj przez nich w pewnym czasie gwiazdy spadającéj, jeżeli tylko prócz czasu spadania, okolicy nieba, w któréj się ona pojawiła, i kierunku, zwrócą także swą uwagę na wszystkie towarzyszące okoliczności, jak np. na wielkość, ogon za nią się ciągnący itp. Tą téż drogą poszli wyżéj rzeczeni, Brandes i Benzenberg, rozpoczynając wspólnie swą pracę w r. 1798. W odległości od siebie najprzód 27,000, a późniéj w odległości 46,000 stóp obserwował każden z nich bieg wszystkich pojawiających się mu gwiazd spadających, jako téż czas ich pojawu, poczém rachunek im pokazał, że żadna z gwiazd spadających nie pojawiła się niżéj od ziemi jak $1\frac{1}{2}$ mili, najwyżéj zaś w odległości 30 mil. Oznaczyli oni także chyżość ich biegu, i znaleźli takową $4\frac{1}{2}$ do 6 mil na sekundę. Długo oni prowadzili swoje badania, a zwłaszcza Brandes, który w r. 1823 zebrał obfity zasób spostrzeżeń gwiazd spadających; z tego obliczył on wysokość ich pojawu dochodzącą nawet przy niektórych do 100 mil.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

(Na dwóch brzegach rzeki). Pan Pafnucy z wędką. (do młodego chłopca wsiadającego do łódki, żeby się przeprawić na drugą stronę rzeki). A słuchajno chłopcze, jak się przewieziesz na drugą stronę, to się dobrze przyjrzéj temu Panu, co tam stoi.

Chłopiec. Dla czego? — proszę Pana.

Pan Pafnucy z wędką. Bo to najcierpliwszy człowiek jakiego w życiu mojém nie widziałem.

Chłopiec. Oho!... a cóż on takiego cierpliwego zrobił?

Pan Pafnucy z wędką. Już cztery godziny, jak tu ryby łowię, a stoi z założonemi rękami i patrzy na mnie. Mnieby prędzéj licho wzięło z złości, niżbym wytrzymał przypatrywać się komu tak długo.

Pan Onufry z drugiego brzegu (do tegoż samego chłopca, gdy przybył na drugą stronę). Słuchajno chłopcze, a przypatrzyłeś się téż tam temu panu na drugiéj stronie?

Chłopiec. A dla czego się miałem przypatrywać?

Pan Onufry. Bo to dopiero człowiek cierpliwy!... choć go za biletami pokazywać!

Chłopiec. On, taki cierpliwy... a oto czemu?

Pan Onufry. Wystaw sobie, już cztery godziny łapie ryby, ja stoję i patrzę, czy téż co złapie, choćby tylko jednę, ale najmniejszéj nawet rybce nie śniło się o jego wędce. Kazałbym sobie sto kijów dać, żebym tak czas tracił na darmo.

Chłopiec. A mnie się zdaje, z przeproszeniem Pana, żeście Panowie obaj warci po sto.

(Handel ludźmi). Od niejakiego czasu odkryto w Austryi, że mianowicie z Węgier sprzedają do Rumunii, Turcyi i do Egiptu dziewczęta. Teraz się pokazało, że banda trudniąca się tym zbrodniczym handlem rozciąga się i na Galicyą, a mianowicie między żydami. W Nowym Sączu wykryto taki handel, i sąd tamtejszy pociąga już do odpowiedzialności owych handlarzy. Imiona tychże, jak podaje „Unia“ są: Adolf Kleinfeld et Comp., Kalman Kornhaeuser i Kaniak. Do wykrycia przyczynił się list nieszczęśliwéj ofiary, żydówki Chaji, pisany z Egiptu, który mnóstwo podaje szczegółów. Handlarze ci, prawdziwe wyrzutki ludzkości, żenią się na pozór w Galicyi, i wyjeżdżają niby dla przesiedlenia się na Wschód, a tymczasem wywożą ofiary swoje do Egiptu, gdzie je sprzedają jako niewolnice muzułmanom, a nawet do Indyi.

(Co kraj to obyczaj). Pewen podróżnik po Ameryce Północnéj w ten sposób opisuje rozmowę ojca z córką po kilku tygodniach niewidzenia.

— Rachuję, (jestto ulubiony wyraz Amerykanów) że sześć już tygodni nie było cię w domu, moja droga?

— Istotnie czterdzieści dwa dni, ojcze.

— Gdzieżeś przez ten czás jeździła?

— Byłam w Filadelfii, w Wirginii.

— A jak tam stoi bawełna?

— Podskoczyła o dwa centy.

— A cukier?

— Spadł o jeden cent; kukurydza nie obrodziła się, papiery newjorskie stoją wysoko.

— A cóż więcéj?

— Nic. Ale pozwól mi ojcze przedstawić sobie tego Pana — jestto mój mąż. Wzięliśmy ślub w zeszłym tygodniu w Wirginii.

— Panie spodziewam się, że przyjemnie mi będzie poznać się z panem.

— I ja bardzo się cieszę, że mogę być panu przedstawiony — odpowiedział zięć grzecznie, ale chłodno.

Szarada.

Całość z dwóch sylab — w łonie swojém chowa
Dobrze ci znane krótkie dwa słowa.
Pierwsze wdzięk kobiet. Ten dłutem Kanowy
Łatwiéj wyrazić, niż bez ciała słowy.
Bo jak wyśpiewać owe łuki — fale —
Drżące pod rąbkiem, jak słońce w krysztale,
Jak raj opisać w sercu wypieszczony,
Jeśli zakryty tajnemi osłony?
Drugie — jak echo żałoby westchnienia —
Zasępia wszystko barwami cierpienia,
Gdy oko słońca skwarnym pali żarem,
Natenczas nader pożądanym darem.
Wszystko oznacza upominek drogi,
Czasem wart krocie, najczęściéj ubogi;
Gdy ofiaruje młodzian swojéj lubej,
Ta zaś dar przyjmie, gotuj rychłe śluby.
Niegdyś przed wieki — wróg zacięty Romy,
Nie syt zwycięstwa, a złota łakomy,
Złamawszy rzymskie orły i proporce,
Z rąk senatorskich zdarł dwa, lub trzy korce.
Wszystko dogadza modzie i próżności,
Choć jest obrazem — symbolu wieczności.

(Rozwiązanie szarady w nr. 45: ***Pokolenie.***)

PUSZKA DO LISTOW.

Panu Rog... w Poznaniu: Po Kochanowskim i Karpińskim nie tak to łatwo tłómaczyć wierszem psalm: Super flumina Babilonis. W drugiéj zwrotce nie zupełnie się zgadzamy na pojmowanie myśli w oryginale wyrażonéj. Panu B. R. w Poznaniu: I Pańskich „Sonetów Sielskich“ przyjąć nie możemy, mimo wcale udatnéj formy. Życzenia wynurzone w sonecie „Do Muz“ są dość zwyczajne, równie jak myśli wyrażone w sonecie „Do wsi“. Panom: J. T. M. K. w B, pod Śmiglem: Dziękujemy. Panu N. w Toruniu: Druga edycya znacznie poprawniejsza. Panu Ad. w Prochach pod Rakoniewicami: Niezwłocznie prześlemy.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.